

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 7 Marek.

Rok XVII. Kraków, 10. lipca 1920. Nr. 28.

Uroczyste otwarcie gdańskiej Konstytuanty



Uczestnicy uroczystości otwarcia: Sir Reginald Tover (1), Komisarz Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku M. Biesiadecki (2), głównodowodz. ang. flotą bałtycką admirał Cowan (3), głównodowodz. siłami lądowemi w w. m. Gdańsku angielski generał Haking (4), st. burmistrz Gdańska Dr Sahm (5), przedstawiciel Niemiec Förster (6).

Uroczyste otwarcie gdańskiej Konstytuanty.

(Do illustracyi tytułowej).

Przy układaniu warunków pokojowych, jakie podyktowano Niemcom w Wersalu, uwzględniono żądania Polski co do dostępu do morza tylko częściowo, przyznając jej kawałek wybrzeża, ale bez Gdańska, z którego wraz z okręgiem utworzono samodzielne wolne miasto. W porcie gdańskim przyznano wprawdzie Polsce szczególniejsze prawa, uzależniono przecież w ten sposób handel polski od wpływów niemieckich, a pośrednio angielskich, bo Anglia na dobre rozsiadła się już u ujścia Wisły, uważając Gdańsk za pewien rodzaj swej zamorskiej kolonii. Daje temu stale wyraz „wysoki komisarz koalicyjny" sir Reginard Tower, forytujący Niemców, a wobec Polski okazujący stale niechęć i niezrozumienie jej najżywotniejszych interesów.

Gdańsk uznany jest za miasto niemieckie, ale ten charakter nadaje mu tylko ludność napływowa przybyła tu jako osadnicy lub w celach handlowych, miejscowa w bardzo wielkim procencie (niezniemczona) przyznaje się stale do narodowości polskiej, zwłaszcza sfery robotnicze w mieście i okoliczna ludność włościańska.

Niemcy nie mogą przeboleć Gdańska, to jedno ich pociesza, że nie dostał się w ręce Polski. Obawiają się też, że łatwo może przyjść do zlania się Gdańska z Polską, zwłaszcza jeśli się weźmie w rachubę ewentualność, że Polska, nie mogąc się zmieścić z narzuconymi jej sąsiadami „pod jednym dachem", mogłaby oglądnąć się za swym własnym portem. Wówczas los Gdańska byłby rozstrzygnięty i z tem liczą się ci, którym rozwój miasta leży na sercu.

Handel polski z zagranicą, o ile ma być stworzony drogą wodną, bez Gdańska, w którym mieliśmy zupełnie wolne ręce, pomyśleć się wprost nie da.

Dotychczas sprawa wzajemnego stosunku Polski i Gdańska nie jest jeszcze stanowczo załatwioną, zająć się nią ma obradująca obecnie gdańska Konstytuanta, której w tych dniach przedłożono projekt konwencyi polsko-gdańskiej, opracowany przez Radę Stanu. Poruszono tam stosunek obu państw do siebie, ich prawa i obowiązki, nakładające równocześnie na Polskę bardzo ciężkie warunki zaopatrzenia Gdańska we wszystko, co mu do życia niezbędnie potrzebne.

Uroczyste otwarcie gdańskiej Konstytuanty odbyło się w dniu 14 czerwca b. r. Wziął w niem udział między innymi wysoki komisarz sir Tover, generalny komisarz Rzeczypospolitej, były delegat krakowski, Maciej Biesiadecki, niezbyt przychylnie dla nas usposobiony starszy burmistrz miasta Gdańska dr. Sahm i inni.

Illustracya nasza przedstawia uczestników uroczystości otwarcia.



Uroczyste otwarcie gdańskiej Konstytuanty: Pałac w Gdańsku, w którym rezyduje Komisarz koalicyjny Sir Reginald Tower.

Odjazd zdemobilizowanych Hallerczyków do Ameryki.

Gdy na zegarze dziejowym wybiła godzina walki o niepodległość Polski, pospieszyli tłumnie do szeregów rodacy nasi z Ameryki. Choć zdala zamieszkali od Ojczyzny, wielu z nich urodzeni nawet na obcej ziemi, nie zapomnieli o tych węzłach, jakie ich łączą z Macierzą. Po stronie Koalicyi stworzyli całą armię, zostającą pod rozkazami generała J. Hallera. Czyny ich wojenne przeszły do historyi; polski żołnierz w tych tytanicznych zapasach, posyłany wszędzie tam, gdzie niebezpieczeństwo było największe, okrył się nową sławą.

Z chwilą, gdy wojna światowa dobiegła końca to jest, gdy traktat pokojowy podpisano, rozpoczęła się demobilizacya armii koalicyjnych.

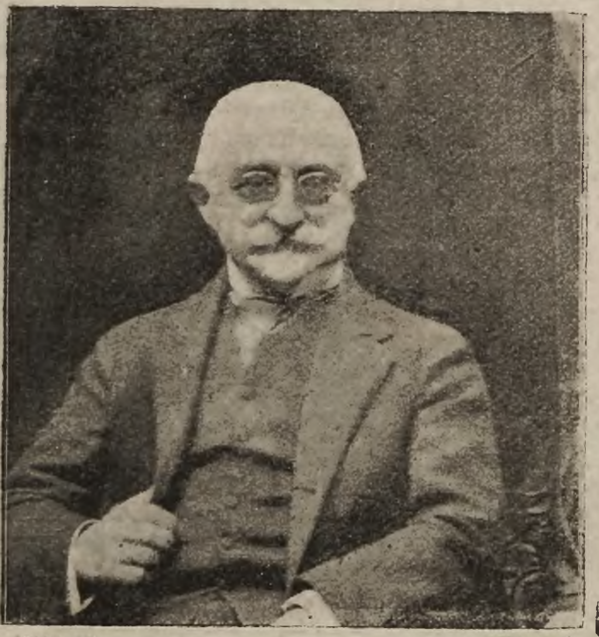
I nasi amerykańscy bracia powrócili do swej przybranej ojczyzny, której są wzorowymi obywatelami, żegnając z żalem w sercu swą Macierz, której nieśli w ofierze zdrowie i życie.

Transporty zdemobilizowanych Polaków amerykańskich z armii Hallera odchodziły z portu gdań-



Odjazd zdemobilizowanych Halerczyków do Ameryki: Halerczycy po przybyciu do Gdańska koleją — w kilka godzin potem już na pełnem morzu.

skiego ostatnio na statku „Merkury" (dawniej „Fryderyk Rudobrody"). Statek ten o pojemności 18.000 ton. zabrał 1 871 Hallerczyków. Hallerczycy przed odjazdem do Ameryki muszą przejść kwarantannę i dezynfekcyę. Przedtem procedura ta odbywała się w Gdańsku w dawnym obozie jeńców w Troyl. Ze względu na trudności wyżywienia w Gdańsku, na wielkie koszta za postój okrętu i na wiele innych niedogodności, kwarantanna i dezynfekcya odbywa się obecnie w Grupie koło Grudziądza. Hallerczycy przybywają zupełnie gotowi do wyjazdu, dopiero

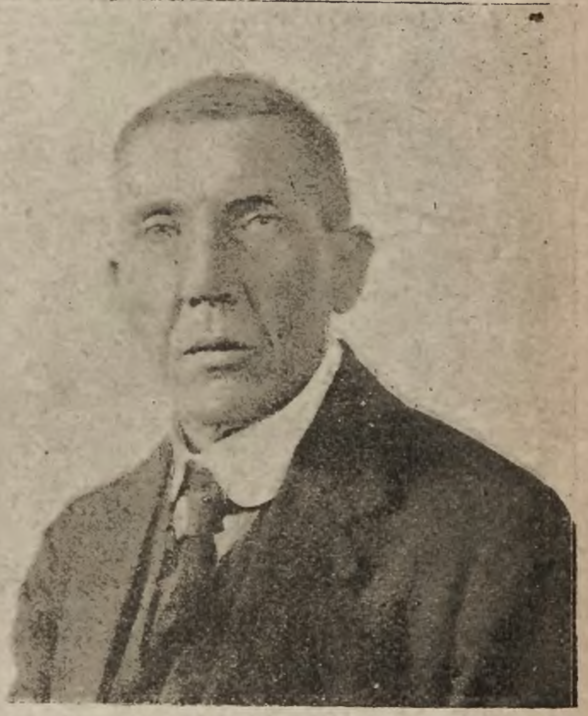


Pięćdziesięciolecie doktoratu: Prof. Dr Maurycy Straszewski wybitny polski filozof i działacz społeczny.

gdy dokładnie znaną jest data przybycia okrętu i z pociągu wsiadają wprost na okręt. „Merkury" przybył do Gdańska o godzinie 9 z rana, a już w sześć godzin ruszył w powrotną drogę do Ameryki. Dla żołnierzy tych stworzono specyalny krzyż żołnierski i specyalny dyplom, którego krótki opis podajemy. U góry pod napisem „Rzeczpospolita Polska" na tle wieńców wawrzynowych i sztandarów znajduje się wizerunek tego krzyża, który na niejednej piersi będzie przedmiotem słusznej dumy posiadacza. Na ramionach krzyża widnieje napis: „Swojemu żołnierzowi z Ameryki oswobodzona Polska", zaś na promieniach gwiazdy, miejscowości, w których ci żołnierze walczyli.

Pięćdziesięciolecie doktoratu.

Towarzystwo Filozoficzne w Krakowie na jednem z ostatnich swoich posiedzeń, uczciło swego prezesa, prof. Maurycego Straszewskiego uroczystą mową zastępcy prezesa i wspólnemi gratulacyami, z powodu pięćdziesiątej rocznicy jego doktoratu. Mianowicie bowiem dnia 24 czerwca 1870 roku odbyła się na Uniwersytecie wiedeńskim promocya p. M. Straszewskiego na doktora filozofii i sztuk wyzwolonych. Uczony i utalentowany nasz rodak który w możliwie majmłodszym wieku i to wśród obcych zaszczycony został tym najwyższym stopniem akademickim, bardzo szybko posuwał się też w karyerze nauczycielskiej tak, że bez przykładu wcześnie, bo już w 30 roku swego życia został on zwyczajnym profesorem filozofii na Wszechnicy Jagiellońskiej, jako bezpośredni następca słynnego „ojca estetyki polskiej" Józefa Kremera. Równocześnie rozwijał on coraz wybitniejszą działalność autorską w pismach krajowych i zagranicznych, tudzież w osobnych dziełach, dotyczących dziejów filozofii na wschodzie, u św. Augustyna i w Polsce w których to zakresach zyskał pierwszorzędną sławę pisarską, chociaż i za inne tematy zjednał sobie także poważne uznanie, jako prelegent na licznych zjazdach wszechświatowych, poświęconych filozofii, jakie odbyły się np. w Genewie, Heidelbergu i Bolonii. Taka działalność prof Straszewskiego nie ustawała przez lat blisko pięćdziesiąt, rozszerzając się owszem i na sferę organizacyjną systematycznych Kongresów i Towarzystw naukowych; tak np. jest on razem z dr K. Lubeckim i dr S. Garskim współzałożycielem Tow. filozoficznego w Krakowie w roku 1909, w którem nietylko przewodniczy od początku, ale wszystkich współpracowników liczbą odczytów bardzo znacznie przewyższył. Jako hojny fundator, wsparł on krociowym darem księgozbioru filozoficznych Seminaryum filozoficzne, około utworzenia którego wielce się zasłużył. Pracował również jako reformator nauczania filozofii w szkołach średnich i jako popularyzator filozofii w przystępnych książeczkach biblioteki „Prawdy". Znany też jest powszechnie z działalności obywatelskiej i z mów patryotycznych do czego celną placówkę zajmuje od lat szeregu, jako prezes dobrze zasłużonej krakowskiej „Straży Polskiej". Z tych więc powodów, do których jeszcze wiele innych chlubnych motywów dodaćby należało, zamieszczamy niniejszą wzmiankę, aby nietylko w Towarzystwie filozoficznem, ale i publicznie uczcić znakomitego Jubilata. Zaiste, podziwiać można jego energię i świeżość umysłu, z jaką ten profesor i były dziekan Uniwersytetu Jagiellońskiego, ponad



Nowy prof. Akad. Sztuk Pięknych w Krakowie: Stanisław Kamocki, nowo mianowany profesor krajobrazu.

zwykłą granicę wieku jest obecnie znowu czynnym profesorem i urzędującym dziekanem na Uniwersytecie w Lublinie i jak bez przerwy zasila co roku piśmiennictwo nasze żywotnymi artykułami i pomnikowemi dziełami. Szczęść Boże, *ad multos annos!*

Dr K. Lubecki.

Nowy profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Stanisław Kamocki, nowo mianowany profesor na katedrę dla nauki krajobrazu w krakowskiej



Odjazd zdemobilizowanych Halerczyków do Ameryki: Halerczycy wsiadają na okręt „Merkury" w porcie gdańskim.



Czerw. Krzyż ameryk. dzieciom robotn.. Grupa dziewcząt robotn. z Krakowa w darach amerykańskich

Akademi Sztuk Pięknych, urodził się w Warszawie, do szkół średnich uczęszczał w Krakowie a następnie poświęcając się zawodowi artystycznemu, wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie za czasów dyrekcyi J. Fałata.

Studya w Akademii odbywał pod kierownictwem prof.: I. Malczewskiego, L. Wyczółkowskiego i T. Stanisławskiego, pod którem to profesorem coraz wyraźniej zaczął się ujawniać pęd ku odtworzeniu polskiego krajobrazu. Po ukończeniu Akademii krakowskiej wyjeżdża na dalsze studya dwukrotnie do Paryża a następnie do Włoch i Niemiec.

Osiadłszy po powrocie na dłuższe przeciągi czasu na wsiach naszych, tworzy szereg obrazów o temacie krajobrazu, które to znajdują przyjęcie na najgłośniejszych wystawach w Europie a nawet i w Ameryce. Szereg obrazów zostaje wyróżnionych jak n. p. „Łany" wystawiony w Wiedniu na wystawie artystów austryackich, zostaje zakupiony przez rząd austryacki do państwowej galeryi w Wiedniu i t. d. Wiele też obrazów St. Kamockiego znajduje nabywców do galeryi prywatnych za granicą lub też w kraju — u nas po za Muzeum Narodowem w Sukiennicach i we Lwowie w Galeryi Narodowej, znajduje się też dużo obrazów po zbiorach prywatnych, jak hr. Raczyńskich w Rogalinie, hr. Pinińskich we Lwowie, F. Jasieńskiego i t. d.

Katedra, którą objął St. Kamocki po ś. p. Stanisławskim ma już ustaloną tradycyę, jako pierwszorzędna placówka w Polsce dla kształcenia młodzieży w nauce malowania naszej ziemi tak obfite w przebogate piękno.

Czerwony Krzyż amerykański — dzieciom robotniczym!

Sekcya „Ochrony Dziecka", istniejąca przy Radzie robotniczej P. P. S. w Krakowie, utrzymuje dwa „Ogniska" czyli ochronki popołudniowe na Czarnej Wsi i w Podgórzu.

Zarząd Sekcyi wniósł niedawno podanie do Amerykańskiego Czerwonego Krzyża z prośbą o pomoc w bieliźnie i odzieży. Na skutek tego podania Czerwony Krzyż — po poprzedniem zbadaniu potrzeb instytucyi przez swych delegatów — nadesłał „Ogniskom" znaczną ilość bielizny i ubrań dziecięcych, które rozdzielono pomiędzy dzieci. Załączone fotografie przedstawiają właśnie dzieci w nowych ubraniach. Zdjęcia dokonał Zarząd „Ognisk" w celu przesłania ich Czerwonemu Krzyżowi.

Podnieść należy, że pomoc Czerwonego Krzyża nie jest aktem zwykłej filantropii, do jakiej niestety aż nazbyt byliśmy w ostatnich czasach przyzwyczajeni. Tu wszystko jest z doborowego materyału, nowe, solidne, bardzo porządnie obrobione. W tym też wypadku „dary amerykańskie" są naprawdę hojnemi darami.

Zwłaszcza w czasach panujących epidemii, gdy dla mniej zamożnych — nie mówiąc już o najbiedniejszych — nabycie bielizny i odzieży jest często niedościgłem marzeniem, gdy brak najniezbędniejszych rzeczy jest powszechnym. Wydatna więc pomoc amerykańskiego Czerwonego Krzyża zasługuje na szczere uznanie i wdzięczność polskiego społeczeństwa.



Czerw. Krzyż ameryk. dzieciom robotn.: Grupa chłopców robotn. z Krakowa w darach amerykańskich.



Czerwony Krzyż amerykański dzieciom robotniczym: Młodzież robotnicza podgórska w ubraniach ofiarowanych przez „Czerwony Krzyż" amerykański.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

8

— Nie, ale jestem zdania, że jeżeli zbadamy życie kobiety z twarzą taką, jak ta — prawdziwe jej życie — możemy być pewni, że nie będzie ono pozbawione uczynków takich, jakich się spodziewamy, uczynków zgodnych z tym wyrazem idealności, którą każdy może widzieć. Co Mrs. Derringham może wiedzieć o prawdziwem życiu Mrs. Chepstow? Nie zna jej osobiście, sama mi to mówiła, gdy z nią nie rozmawiała nie pragnie nawet tego.

— Przyznam się, że to mnie nie dziwi — zauważył doktór.

Ton jego był suchy i Armine to spostrzegł.

— Widzę, że jesteś uprzedzony — rzekł głosem, w którym czuć było zawód.

— Nie wiem sam dlaczego, ale miałem cię zawsze za najszczerszy i najjaśniejszy umysł, jaki kiedykolwiek spotkałem.

— Pytanie co to jest uprzedzenie? Uczynki są faktami i nie mogą wcale nie wpłynąć na tego, kto je popełnił. Jeżeli widzę, że jakiś człowiek bije psa, liżącego mu rękę, odnoszę wrażenie, że jest okrutnym. Czy powiesz, że mam ciasne pojęcia? Jeżeli nie mamy sądzić ludzi z ich uczynków, to z czego będziemy ich sądzić? Może powiesz: „nie sądzić wcale". Ale to niemożliwe, nie tworzyć sobie opinii o ludziach, a ile razy opinię się tworzy, tyle razy właściwie się sądzi. Czy nie tak?

— Moim zdaniem uczucie wchodzi w grę. Często doznaje się natychmiastowego wrażenia, nie widząc jeszcze nic o uczynkach danej osoby. Uczynki te mogą zadać wrażeniu kłam. Ale czy to źle? Myślę, że nie. Pamiętam, jak słyszałem kiedyś kobietę i to rozumną, mówiącą o człowieku, którego dobrze znała: „posądzają go o takie uczynki, a jednak chciałabym na własne oczy widzieć, że je popełnił, jeszczebym nie wierzyła". Niedorzeczność, powiesz. Ale czy to rzeczywiście niedorzeczność? Czy na powierzchni nie może być fałszywy człowiek, jak maska, którą się nosi na twarzy? I czy ten fałszywy człowiek nie popełnia czynów, które prawdziwy potępia? Ja wolę sądzić sercem niż oczami, Iseacson, tak — wolę. Ta kobieta, o której wspomniałem, piękną rzecz powiedziała i nie była niedorzeczną, chociaż wszyscy co ją słyszeli, śmiali się z niej. Wrażenie, to głos serca, to serce mówi „to prawda". A ja wierzę, że serce bez żadnego rozumowania, wie co jest prawdą.

— A jeżeli dwu ludzi dozna wręcz przeciwnych wrażeń? Co wtedy? a przecie to się zdarza.

— Nie wierzę, żebyśmy obaj doznali wręcz przeciwnych wrażeń co do tej samej osoby — odrzekł Armine, patrząc na Mrs. Chepstow — a dzisiejszego wieczoru nie dbam o resztę świata.

— Czy nie sądzisz, że serce może być tak samo głupie, jak głowa? bo ja myślę, że ludzie mogą mieć ogłupiałe serca i ogłupiałe głowy.

Jak doktór to mówił, błysnęła mu myśl, że wydaje sąd o swym przyjacielu, człowieku, którego podziwiał, którego prawie kochał.

— Wierzę zawsze memu sercu — rzekł Armine — ale bardzo często niedowierzam mej głowie. — Może napijesz się jeszcze szampana?

— Nie — dziękuję.

— Co powiesz, gdybyśmy podeszli do Mrs. Chepstow? Musi być jej bardzo nieprzyjemnie siedzieć samej. Przywitamy się z nią, jeżeli nas nie zatrzyma, pójdziemy do hall'u na cygara.

— Bardzo dobrze.

Nie było ani wielkiej ochoty, ani ociągania się, w głosie Meyera Iseacsona, a zresztą, chociażby i było, Armine, prawdopodobnie nie byłby tego spostrzegł. Był wyłącznie zajęty jedną tylko rzeczą, na nic innego nie zwracał uwagi. Zapłacił rachunek i wstał.

— Chodź — rzekł — przedstawię cię.

Położył rękę na ramieniu przyjaciela:

— Oczyść swój umysł z uprzedzeń, Iseacson — mówił cichym głosem — jesteś zanadto dobry i rozumny, żeby należeć do podejrzliwego tłumu. Niech twoje pierwsze wrażenie będzie prawdziwem.

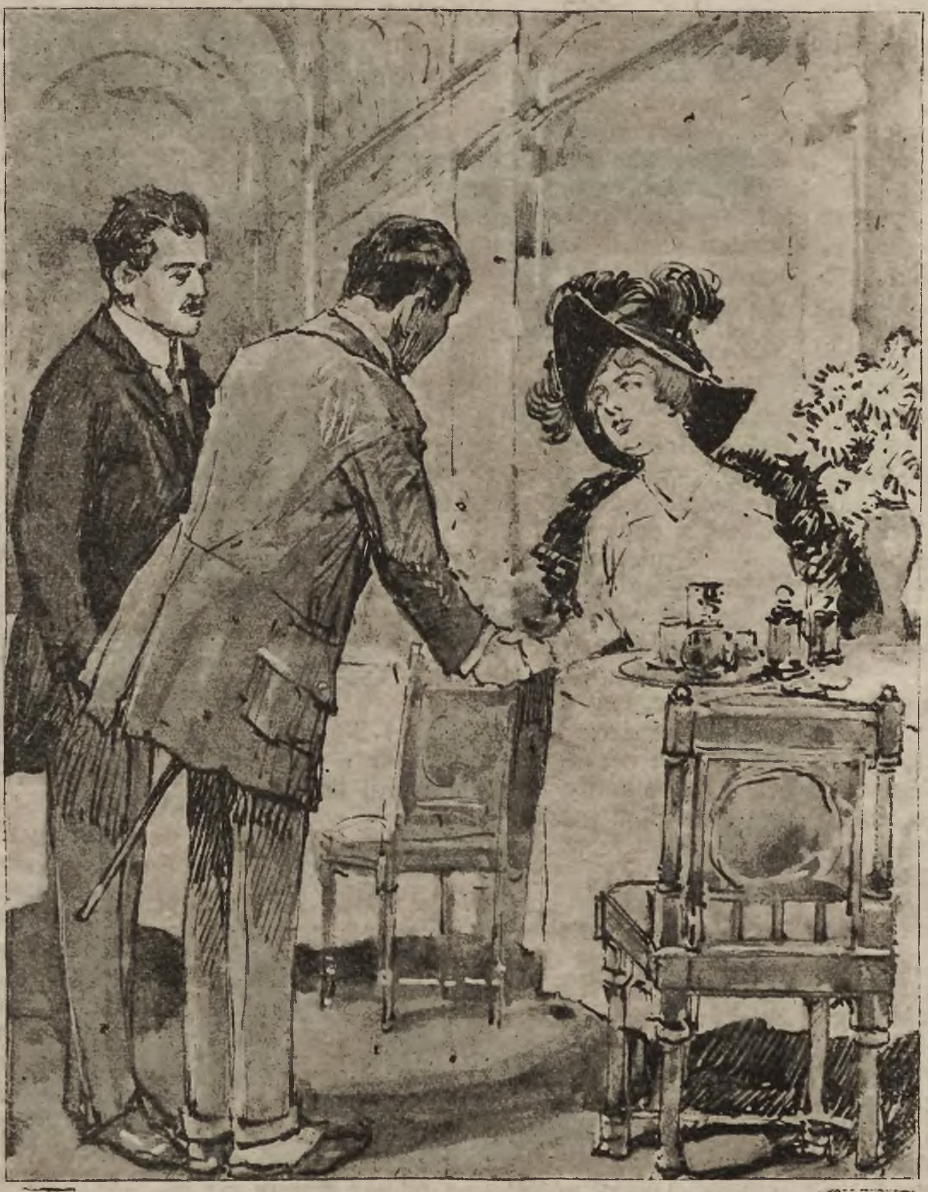
Idąc z Armine'm do stołu Mrs. Chepstow, doktór mu nie powiedział, że pierwsze wrażenie już otrzymał w konsultacyjnym gabinecie na Cleveland Square.

V.

— Mrs. Chepstow!

Na dźwięk głosu Armine'a Mrs. Chepstow drgnęła, jak osoba wyrwana nagle z głębokiej zadumy, spojrzała na niego i uśmiechnęła się:

Pan tutaj? jestem zupełnie sama, ale byłam



— Chciałbym pani przedstawić mego przyjaciela. Czy można?

głodna i musiałam przezwyciężyć mój wstręt do tłumu.

— Chciałbym pani przedstawić mego przyjaciela. Czy można?

— Ależ, naturalnie!

Armine się usunął i dr Iseacson stanął przed Mrs. Chepstow.

— Doktór Meyer Iseacson, Mrs. Chepstow.

Doktór sam dobrze nie wiedział, czy się spodziewał, że Mrs. Chepstow go pozna, czy też, że stanie się to, co przypuszczał — lekki jej ukłon i ciche bardzo mi przyjemnie pana spotkać. Ale nie odczuł najmniejszego zdziwienia jej zachowaniem się jak z zupełnie obcym człowiekiem i był rad, że nie wspominał Armine'owi o jej bytności na Cleveland Square.

— Czy panowie zechcą siąść przy mnie i porozmawiać trochę, jestem sama.

— Jeśli pani pozwoli.

Armine przysunął krzesło.

— Siądź pan z drugiej strony, doktorze Iseacson; dużo słyszałam o panu, wyleczył pan wielką ilość moich nieprzyjaciół.

Nie było najmniejszego śladu pozy w jej ruchach, ani zakłopotania w głosie i siadając, doktór podziwiał doskonałość jej zachowania, jak czasem podziwiał subtelną *unance* w grze jakiejś wielkiej francuskiej aktorki.

— W takim razie pani musi mnie nienawidzieć.

— Dlaczego? jeżeli ich nie nienawidzę?

— Nie nienawidzi pani swych nieprzyjaciół? — spytał Armine.

— Nie; to jest słabość, wiem o tem, ale nigdy nie mogłam i nie będę. Jest we mnie jakieś głupie uczucie, które mi każe uniewinniać ludzi, cokolwiekby czynili. Mówię sobie: oni tego nie rozumieją, gdyby znali wszystkie okoliczności nie nienawidziliby mnie, może nawet mieliby dla mnie współczucie. To głupio, to błąd, wiem o tem. Takie uczucia przeszkadzają w powodzeniu, gdyż nie pozwalają na zadanie ciosu we własnej obronie; a jeżeli się nie walczy samemu, nikt za nas walczyć nie będzie.

— Nie zdaje mi się, żeby to było zupełnie prawdziwem — rzekł Armine.

— Owszem, to prawda. Jeżeli się jest kłótliwym, ludzie myślą, że się jest silnym i wtedy są gotowi stanąć po naszej stronie. Ale kto sam łatwo przebacza, temu łatwo nie przebaczają.

— Jeżeli tak, dlaczego pani nie zmieni swojej taktyki?

Mówiąc to, spojrzał na Iseacsona, i doktór zrozumiał, że chce zwrócić jego uwagę na to, co wierzył, że jest w charakterze tej kobiety.

— Po prostu nie mogę, jestem czem jestem. Nie mogę, ani zmienić siebie, ani czynić wbrew temu wewnętrznemu głosowi. Nieraz się staram, gdyż nie pretenduję być cnotliwą, ale to mi się nie udaje. Wiem, że to słabość, wiem, że się świat z tego śmieje, ale — *que voulez-vous?* — jesteśmy niewolnikami naszych dusz.

Ostatnie zdanie było wypowiedziane, jakby odruchowo, taka w nim brzmiała prostota i szczerość. Ale, zaraz, jakby żałując swej otwartości, dodała:

— Doktorze Iseacsonie, jakąż idyotką muszę się panu wydawać!

— Dlaczego?

— Mówiąc to. Naturalnie pan musi być zdania, że jesteśmy niewolnikami naszego ciała.

— Bezwarunkowo nie mam pana za idyotkę — nie mógł się powstrzymać odpowiedzieć z pewnem znaczeniem doktor.

— Iseacson nie jest zwykłym lekarzem — rzekł Armine — może się go pani nie lękać.

— Nie lękam się nikogo, ale nie chciałabym uchodzić za niedorzeczną, a zdaje mi się, że jestem nią często, stawiając ciało tak nisko. Co za rozmowa! — dodała z uśmiechem — ale jak jestem sama w tłumie, rozmyślam o różnych rzeczach. Przypuszczam, że tłum pobudza mózg. Tak więc przy moich samotnych obiadach i kolacyach, myślę o rozmitych kwestyach.

Spojrzała na obu mężczyzn, jakby chcąc ich przeprosić. — *La femme pluse* — rzekła, i wzruszyła ramionami.

Armine przysunął swe krzesło do Mrs. Chepstow i ruch ten przekonał doktora, jaka siła jeszcze zawsze tkwiła w tej kobiecie — siła panowania nad ludźmi pewnego typu.

— A mężczyźni czynią - dopełnił Armine.

— Kobieta czyni też i lepiej, niż mężczyzna — pomyślał Iseacson.

I znowu podziw jego się wzbudził, tym razem dla niezwykłej odwagi Ms. Chepstow, przy całej jej, choć ukrytej bojaźni przed nim.

— Ale nad czem pani tak rozmyśla? — ciągnął poważnie Armine. — Zauważyłem, jaka pani była zamyślona, wchodząc do sali.

— Zauważył pan? myślałam właśnie o rozmowie, którą miałam po południu i dziwnym trafem — zwróciła się do Meyera Iseacsona — rozmawiałam z jednym lekarzem.

— Rzeczywiście? — odrzekł, patrząc jej prosto w oczy.

— Tak.

Zwróciła się znowu do Armine'a.

— Byłam dzisiaj po południu u jednego lekarza, chcąc się go poradzić dla mojej przyja-

ciółki, która jest chora i uparta i mieliśmy najdziwniejszą rozmowę o duszy i o ciele. Był to rodzaj walki. Jestem pewna, że pomyślał, że jestem najgłupszą kobietą.

— Z jakiego powodu?

— Przypuszczam dlatego, że zajęłam dość sentymentalne stanowisko. Pan nie wie, że my kobiety obieramy zawsze sentymentalny punk widzenia. Mój lekarz był bardzo uczony i okropnie sceptyczny. Myślał, że jestem głupią wizyonerką.

— A pani co o nim pomyślała?

— Obawiam się, że go mam za skrajnego materyalistę. Tak długo zajmował się ciałem, że wierzy tylko w ciało i wszystko do niego odnosi. Każde uczucie, według niego, jest tylko grą nerwu w komórce szarego mózgu. Mogę twierdzić, że uważa, że nawet miłość może podlegać operacyi. A co do tego, żeby kto miał nieśmiertelną duszę — ośmieliłam się, — będąc z natury odważną — zrobić wzmiankę o możliwości posiadania takowej, ale pożałowałam tego następnie.

— Proszę nam powiedzieć dlaczego?

— Zostałam zasypaną gradem argumentów i pogardy. Nie wiele sobie robiłam z pogardy, ale argumenty mnie znudziły.

— A czy panią przekonały?

— Mr Armine! czy pan kiedy widział, żeby kobieta została przekonana argumentami?

Zaśmiał się.

— A zatem pani wciąż wierzy, że posiada duszę nieśmiertelną?

— Więcej, niż kiedykolwiek.

Śmiała się także, ale prawie nagle spoważniała i rzekła:

— Nigdy nie pozwolę, aby ktokolwiek, ktokolwiek zabrał mi moje wierzenia; — głos jej był pełen zapału.

— Chciałabym kawy — dodała zupełnie już innym tonem. — Sypiam bardzo źle i dlatego piję kawę, prawdziwa przewrotność. Kelner, proszę o trzy kawy.

— Co do mnie, dziękuję, nie piję — rzekł Meyer Iseacson.

— Musi pan wypić choć trochę. Nie cierpię czynić coś sama, niema w tem przyjemności jeśli się z kimś nie dzieli. Tak przynajmniej — spojrzała na Armineá — każda kobieta myśli.

— Jakże wiele nieszczęśliwych kobiet być musi.

Nastała chwila milczenia. W głosie, którym Ms. Chepstow wypowiedziała ostatnie słowa, było coś, co rozmowę przerwało. Meyer Iseacson uczuł poraz pierwszy tego wieczoru, że może ujrzał błysk jej prawdziwego charakteru, że się zbliżył do pierwiastka jej kobiecości.

Kelner przyniósł kawę i Ms. Chepstow dodała ze śmiechem:

— Nawet jedzenie, jak się jest sama, nie jest dla kobiety przyjemnością. Zanim panowie się nademną zlitowali, byłabym szczęśliwszą „z czemś na tacy" w moim pokoju, niż przy tym stole. Ale teraz czuję się zupełnie towarzysko usposobioną. Prawda, że kawa tutaj dobra?

Była prawie wesołą. Zdawało się, że szczęście w niej zakwitło.

— Proszę się nie troszczyć o to, że raz się zdarzy noc bezsenna, doktorze Iseacson, — ciągnęła, patrząc na niego, — spełni pan dobry uczynek, pocieszy ludzką istotę, która się czuła bardzo przygnębioną. Rozmowa, którą miałam z tym lekarzem, tak okropnie na mnie wpłynęła, że sobie wciąż powtarzam, że nie wierzę temu co mówił.

Doktór Meyer Iseacson pił kawę, nie mówiąc ani słowa.

— Znajduję, że najgorsza rzecz na świecie którą można uczynić, to podkopać w kimś wiarę, przynoszącą mu pociechę — rzekł Armine z energią.

— Czy chcesz pozostawić ludzi nawet w błędzie? — spytał doktór; — dajmy na to, że widzisz kogoś, naprzykład swego przyjaciela, wierzącego w osobę, o której wiesz, że jest tego niegodną. Czy nie będziesz się starał go oświecić?

Mówił spokojnie, prawie obojętnie. Ms. Chepstow utkwiła w niego swe wielkie, błękitne oczy i na chwilę zapomniała o kawie.

— Możebym się starał. Ale znasz moją teoryę?

— O, tak!

Meyer Iseacson uśmiechnął się, Mrs. Chepstow patrzała to na jednego, to na drugiego.

— Jaką teoryę? Czy mogę wiedzieć?

— Armine myśli.,. — Czy mogę Arminie?

— Naturalnie.

— Otóż Armine myśli, że wierząc w czyjąś prawość i dobroć, pomaga się mu tem samem do stania się dobrym i prawym. Tak, że skutkiem naszej ufności, ktoś może z niegodnego, stać się wartościowym człowiekiem.

— Mr. Armine jest... — urwała. — Jaka szkoda, że świat nie jest pełen Mr. Armine'ów — rzekła łagodnie.

Armine zarumienił się jak młody chłopiec.

— Chciałabym, żeby mój lekarz poznał pana, Mr. Armine. Jeżeli pan stwarza wiarę, on niszczy swą niewiarę.

Przy tych słowach, oczy jej spotkały się ze wzrokiem Meyera Iseacsona, który wyczytał, czy też zdało się mu, że czyta w nich wrogie usposobienie, prawie groźbę.

Służba zabierała się do gaszenia świateł.

— Jeszcze nas stąd wyproszą; uprzedźmy ich, wychodząc sami. To tak okropnie, zostać wyrzuconym, przychodzi mi na myśl Ewa w krytycznej chwili swej karyery.

Wstała i szła przez salę. Kiedy przechodziła obok stolików, wszyscy, którzy przy nich jeszcze siedzieli, tak mężczyźni jak i kobiety, odwracali się za nią i przypatrywali, jak dzieci przypatrują się jakiemuś przedstawieniu. Ale Mrs. Chepstow, zdawała się nie spostrzegać, że zwraca ogólną uwagę, tylko żegnając się ze swemi towarzyszami w hall'u powiedziała:

— Czy ludzie nie są czasem okropni? Myślę, że się jest — urwała.

— Zwaryowałam — rzekła. — Dobranoc — dziękuję obu panom, że do mnie przyszli. To To mi dobrze uczyniło.

— Niech pani nie zważa na tych głupców — mówił prawie szeptem Armine, trzymając przez chwilę jej rękę — proszę nie myśleć o nich, lecz o tamtych.

Patrzała na niego, w milczeniu, skłoniła się, i odeszła.

Jak tylko się oddaliła, Meyer Iseacson rzekł do swego przyjaciela:

— Dobranoc Armine. Rad jestem, że powróciłeś, mam nadzieję, że się będziemy widywali.

— Nie odchodź jeszcze, chodź do mego pokoju na papierosa.

— Lepiej nie. Muszę wcześnie wstać, wyjeżdżam na mój spacer o w pół do ósmej.

— W takim razie pojadę z tobą.

— Jutro?

— Tak, jutro.

— Ale, czy masz konia?

— Nie, lecz wypożyczę od Simond'a.

— Nie czekaj na mnie, ale uważaj w Alei, to się spotkamy. Dobranoc mój drogi.

Ściskając mu rękę, dodał:

— Prawda, że wszystko dobrze?

— Dobrze?

— Z nią — z Mrs. Chepstow. Mogła być w szponach szatana, ale czy nie widzisz? czy nie czujesz, jak dobro w niej walczy, szukając sposobu, żeby się okazać, żeby ująć ster jej życia i zaprowadzić do spokoju i szczęścia. Żal mi tej kobiety, Iseacson, żal mi jej.

— Żałuj ją, jeśli chcesz — rzekł doktór — ale — zawahał się; coś, w wyrazie twarzy przyjaciela, przeszkodziło mu powiedzieć więcej, pomyślał, że może będzie rozsądniej nic nie mówić. Opozycya skłania pewne natury do pędzenia prosto, na oślep, takim ludziom nie należy się sprzeciwiać.

— I mnie także żal Ms. Chepstow — dodał — biedna kobieta.

I mówiąc to, mówił prawdę, ale jego litość nie miała nic wspólnego z miłością.

Czarna kawa Ms. Chepstow pozbawiła doktora Iseacsona snu tej nocy, zapełniła ją tłumem myśli. Nie starał się nawet zasnąć, ani tych myśli odganiać. Po południu był mimowoli zajęty myślą o Ms. Chepstow. Dziwił się dlaczego właściwie chciała go poznać? Teraz wiedział. Zrobiła bardzo śmiały krok. Poznała Armine'a i trafnie odczytała jego wyjątkową naturę. Zgadła, że to człowiek niepodobny do innych ludzi, instynktownie lubiący iść przeciw prądowi, a zbliżać się do tego, od czego inni stronili. Widziała w nim rycerza przegranych spraw.

Ona była sprawą przegraną. Armine jej losem.

Armine mówił jej przed czterema dniami o Meyerze Iseacsonie. Znając entuzyastyczne usposobienie przyjaciela, doktór się domyślał, w jaki sposób o nim mówił. A ona, mądra kobieta, którą niepowodzenie w życiu nauczyło nieufności, wiedziona kobiecym instynktem, przyszła naCleveland-Square zbadać kraj, o którym tyle słyszała. Wrażenie, jakiego doznał doktór w swoim konsultacyjnym gabinecie, że jest obserwowanym, okazało się trafnem. Pacyent badał lekarza, lekko, ale dokładnie. I natychmiast postąpiła według uzyskanej wiadomości. Okazała się taką, jaką była w istocie. Dlaczego to uczyniła? ażeby mu zamknąć usta w przyszłości. Zwierzenia zostały mu uczynione, jako lekarzowi, pod osłoną symptomatów. Powiedziała mu o sobie prawdę, w jego konsultacyjnym gabinecie, ażeby nie mówił komukolwiek — nie mówił Niglowi — jaką ta prawda była.

Jej pewność w odczytywaniu charakterów, zdumiewała, nieledwie zachwycała Iseacsona. Lubił siłę i śmiałość, oceniał ich artystyczną wartość. Dzisiejszego wieczoru, w restauracyi, uczyniła krok jeszcze śmielszy.

Leżąc teraz w nocy, widział jej białą twarz, jej błyszczące nad podmalowanym cieniem oczy, kiedy mówiła Niglowi swe kłamstw o swej rozmowie na Cleveland-Square, stawiając siebie na miejscu doktora, a jego na swojem. Cieszyła się, czyniąc to, cieszyła ogromnie i zmusiła Iseacsona do tańca na swoją nutę. Był zniewolony łączyć się z nią w jej kłamstwie — prawie pomagać.

Wiedział teraz, dlaczego była sama przy stole, dlaczego uwydatniała niepowodzenia w życiu, które obrała, opuszczenie przez mężczyzn. To było uczynione dla pobudzenia wyjątkowej natury Nigla, to była bardzo mądre.

Ale to było spalenie swej łódki.

Meyer Isaacson ściągnął brwi: Kobieta, jak Ms. Chepstow, nie pali swej łódki bez przyczyny. Co właściwie spodziewała się zarobić na ofierze swej próżności?... próżności droższej od życia dla kobiety tego typu?

Co miało być tem *qui pro quo*?

I podczas gdy noc poczynała blednąć i przechodzić w brzask, Meyer Iseacson nie spał, bał się o Nigla.

VI.

Salonik Ms. Chepstow w Savoy-Hotel, był trzymany w jasnych odcieniach zielonego i różowego koloru, które najlepiej odpowiadały jej obecnemu wyglądowi. Na pulpici pianina z różanego drzewa stały nuty Elgara „Sen Gerontinsa" otwarte na słowach: „Proficiseere anima christiana de hoc mundo!" — Wyjdź duszo chrześcijańska z tego świata.

Rozrzucone po pokoju leżały dzienniki: The Nineteenth Century and Aftes, The Duarterly Revew, Times i kilka książek, pomiędzy którymi Göthe'go Faust, Maspera Mannel of Egyptian Archeo'ogy, A. Compenion to Greek Studies, Guy de Maupassant: Fort comme la Nort, d'Annunzio Hawhome'a: "Scarlett Letters" i Emmersona: „Essays". W koszu, pod biurkiem leżał ostatni numer Winning Post, starannie podarty.

Kilka różowych róż stało w wazonie. W klatce śpiewały kanarki; dzięki artystycznej ręce, która ustawiła meble, pokój stracił swój banalny, hotelowy wygląd. Otwarte okna wychodziły na balkon, widać z nich było przystań Tamizy, lekki wietrzyk poruszał białe i zielone firanki.

Do tego miłego i ładnego pokoju, Nigel został punkt o piątej wprowadzony przez hotelowego lokaja, który go zapewnił, że natychmiast zawiadomi Ms. Chepstow o jego przybyciu.

Jak tylko drzwi za służącym się zamknęły, Nigel rozglądnął się naokoło. To była jego pierwsza wizyta u Mrs. Chepstow, szukał śladów jej osobistości w pokoju, w którym przebywała. Pomyślał, że salonik wygląda niezwykle ładnie i gustownie, jak na hotelowy pokój. Nie zauważył tego, coby zaraz spostrzegł Iseacson, że umeblowanie było zręcznie przestawione. Nie było ani fotografii, ani haftów, jedna czy dwie extra poduszki, kilka pięknych róż, kanarki, parę ślicznie oprawionych książek, świeże powietrze wchodzące przez otwarte okna. I stało otwarte pianino.

Podszedł do niego i nachylił się: Proficiseere anima christiana de hoc mundo! — Wyjdź duszo chrześcijańska z tego świata!

A więc lubiła Geromtinsa, ten muzykalny wyraz cudów i tajemnic duszy! Nie pamiętał o tem, że jej sam powiedział, że tę pieśń lubi. Stał i patrzał w nuty. Lekki podmuch wiatru wchodził przez otwarte okna i firanki cicho szeleściały, kanarki śpiewały, a Niglowi zdawało się, że słyszy głos księdza, przy boku umierającego człowieka, głos mówiący duszy, żeby wracała do swego Stwórcy — że czuje tajemnicy, straszny, a jednak tak piękny akt umierania. I dusza jego uniosła się wysoko w zaświaty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Zważywszy, że zbliżają się kanikularne czasy, kiedy każdy szanujący się obywatel opuszcza mury miasta i wybiera się na łykanie świeżego powietrza, miał zamiar i kronikarz postąpić w ten sam sposób, niestety, zamiar spełzł na niczem. Szanujący się obywatel wyjeżdża z Krakowa, kronikarz zaś musi szanować swą kieszeń i dlatego został w Krakowie, a P. T. Czytelnik nie będzie też pozbawiony tej przyjemności, jaką miał co tydzień, mogąc się przekonać, jak kronikarz zapatruje się na sytuacyę.

Wyjazd na wakacye odłożono zatem po naradzie familijnej na czas późniejszy, gdy będzie taniej. Ceny spadają!... Tę radosną nowinę czytamy niemal codziennie w naszych pismach, w których telegramy głoszą wyraźnie, że w Anglii potaniały już ryby, mydło i nieruchomości, że zatem ta fala taniości musi przyjść i do nas, o ile ją naturalnie przepuści przez granicę pan prezydent Grabski.

Niedawno zapowiadał *Kuryer*, że od strony Anglii zbliża się do nas fala ulew i powodzi. Przeraziło nas to nie na żarty, zwłaszcza, że to było w okresie imienin św. Medarda. Ta przepowiednia, Bogu dzięki, dotąd się nie sprawdziła, obyśmy o tej drugiej fali, taniości, idącej do nas także od strony Anglii, nie musieli powiedzieć, że „niestety, także nie doszła!"... W Anglii zrobiono początek z mydłem, można więc żywić nadzieję, że wszystko pójdzie jak po mydle.

Jako człowiek wierzący, zwłaszcza drukowanemu słowu i stale się do niego stosujący, posłuszny wezwaniu pism codziennych, by się wstrzymać z zakupami, nic też kronikarz nie kupuje, bo też i nie ma za co, jako, że to kończył się miesiąc, a wiadomo, że w każdym z nich pierwsze dwa lub trzy dni są jeszcze znośne, następne zaś stają się coraz mniej pożądane.

Niestety, ceny mimo to nie spadły, a nawet poszły w górę, jak to można było stwierdzić na takim choćby drobiazgu, jak zapałki, bez których trudno się obejść. Do niedawna można było dostać pudełeczko za koronę, obecnie kosztuje dwie marki i pięćdziesiąt fenigów i jeszcze trzeba się bardzo prosić, aby sprzedano.

W ślad za zapałkami ma pójść i monopol tytoniowy, który jest zdania, że jego towary, przy znanej swej dobroci są stanowczo za tanie. Ma też skorzystać ze sposobności i, zmieniając napisy koronowe na markowe, podniesie też i ceny, na razie *tylko* o sto procent i to w markach. Paczusia więc jawańskiego ziela (choć ono jest zupełnie czarne!..), która dotąd kosztowała dziesięć koron, skoczy sobie pewnego poranku na dwadzieścia marek. Skoki są teraz w modzie. Należą one do lekkiej atletyki, a ta, z okazyi przygotowań do zawodów olimpijskich, weszła na porządek dzienny. Gdyby chodziło o skoki cen, z pewnością otrzymalibyśmy w Antwerpii pierwszą nagrodę.

Czy jednak monopol tytoniowy wyjdzie dobrze na tej nowej podwyżce, w to można wątpić. Prawda, że jest wielu ludzi i to tak rodzaju męskiego jak żeńskiego, którzy bez palenia się nie obejdą, ale i ci nie pójdą po tytoń do rządowej trafiki, lecz raczej zaopatrzą się weń u pokątnych handlarzy, mogących sprzedawać przemycony tytoń i taniej i w lepszym gatunku. Jeżeli zatem monopol brał w rachubę nałóg, to też się przeliczył, co zresztą zdarza się aż nazbyt często naszym władzom centralnym, aż się proszącym, aby „*Duch św. zstąpił na nie i oświecił je*".

Nie tak dawno, gdy rolnikom naszym potrzeba było ziemniaków do sadzenia, gdy miasta i centra fabryczne nie wiedziały co bez nich począć. Warszawa milczała stale, lub zastawiała się brakiem, wreszcie kazała czekać. I doczekaliśmy się!... Teraz, gdy się już bez nich obejdzie, zasypują poprostu Małopolskę ziemniakami, ale zgniłymi, bo miały na to dość czasu, czekając na decyzyę warszawskich fachowców.

Co się tyczy artykułów spożywczych, to zdaje się, potanienia ich tak prędko się nie doczekamy, już choćby tylko z tej przyczyny, że od zakupna, ze względu na grożącą śmierć głodową, wstrzymać się nie można. Natomiast obiecują nam, że spadną ceny ubrań i obuwia. Podobno nawet łysi warszawscy obuwiowi spekulanci rwą sobie włosy z głowy na wiadomość, że z Anglii jedzie do Polski ogromny zapas butów. Anglia szyje nam buty na każdym kroku, nic też dziwnego, że i w tym kłopocie przyszła nam z pomocą.

Pan prezydent Grabski, w rozmowie z jednym z przedstawicieli warszawskiej prasy oświadczył skromnie, że możemy się spodziewać, jeśli nie potanienia odzieży, to bodaj wstrzymania dalszych podwyżek...

Miła perspektywa, jeżeli się zważy, że nie tak dawno jeden z konsumów krakowskich ogłaszał, iż ma na sprzedaż *wcale porządne* ubranie marynarkowe w cenie po dwa tysiące pięćset marek za garnitur. Na taki zbytek może sobie pozwolić chyba szef sekcyi, warszawski paskarz lub niekwalifikowany robotnik z miesięczną płabą 8.570 Mkp.

Kronikarz mógłby się zdobyć co najwyżej na sprawienie sobie jednej nogawicy lub rękawa, ponieważ zaś tego rodzaju zaopatrywanie się w odzież „na raty" dotąd jeszcze nie weszło w modę, przyświeca narodowi wytartymi łokciami i kolanami, chwaląc sobie nadto ułatwioną wentylacyę, choć nie zawsze w tych miejscach, gdzie byłoby wskazanem.

Jak zatem z powyższego wynika, na spadek cen będziemy musieli długo czekać zatem i wyjazd kronikarza na wakacye, od tego uzależniony, ulegnie dalszej zwłoce i najprawdopodobniej odłożonym zostanie na rok przyszły, który, według zapowiedzi znawców, ma być jeszcze gorszy od bieżącego.

Zresztą i dokąd jechać i po co, skoro, kto jest amatorem świeżego powietrza, może sobie pojechać tramwajem na Sikornik i tam je łykać bez oglądania się na to czy dla innych wystarczy.

Zresztą dziś sama jazda kosztuje tyle co dawniej kilkomiesięczny pobyt w najdroższem uzdrowisku, pozatem niepewność sytuacyi wstrzymuje niektórych z letników w mieście. Zakopane, Rabka, Szczawnica, Krynica i t. d. rozsiadły się wzdłuż granicy węgierskiej, skąd dziś niezbyt przyjemnem okiem spogląda na nas *brat* Czech, uważający Galicyę za czeską aż po San. Musi im się przyznać racyę, jeśli się zważy, że dokumenty historyczne wyraźnie stwierdzają długoletni pobyt w tych okolicach pp. Pospiszilów, Wykukalów, Prochasków i innych. Na tej podstawie roszczą sobie pretensye i do kopalni w Wieliczce, gdzie ongiś był dyrektorem jakiś Precliczek.

Czesi zatem podziałali wstrzymująco na naszych kuracyuszów i wycieczkowiczów, bo to w każdym razie mniejsza przyjemność, jeśli napadnie bojówka czeska w chwili, gdy się siedzi w kąpieli borowinowej.

Obecnie do osłabienia wyjazdu na letnie wywczasy przyczynia się jeszcze i jedno. Niedoszły premier pan Wincenty Witos, ogłosił do braci chłopów list pasterski, w którym narzeka na krzywdy, jakie mu surdutowcy wyrządzili i wzywa, aby ujęto się za nim.

Dotąd wiele osób, nie mogąc sobie pozwolić na pobyt w drogiem Zakopanem i chcąc mieć więcej swobody, wybierało się na wieś między nasz poczciwy ludek wieśniaczy.

Ale ten ludek, w miarę jak wojna zrobiła z nas dziadów, a z niego milionerów i skazała nas na jego łaskę i niełaskę, zaczął się coraz krzywiej patrzeć na miejskich „ciarachów"; przyjeżdżających tutaj, aby mu zatruwać atmosferę i objadać go. Co znaczy w oczach takiego pana Paskudy, kandydata na ministra, lub pani Pomietliny o złotych zębach i szumiącej jedwabiami a myjącej się mydłem po sześćdziesiąt marek sztuka, jakiś tam miejski głodomór, nie mający co w gębę wsadzić, ani w co się odziać. Dotąd mieli go za psie poszycie, teraz, po liście Witosa, nie będą go mieć nawet i za to. A jechać na wieś po to, aby sobie tam krew psuć i narazić się na śmierć głodową, to się chyba nie opłaci.

Mamy wprawdzie własne morze, ale tylko na papierze. Lloyd George zagarnął już Bałtyk dawno dla Anglii, a tylko dla zamydlenia oczu ma zamiar urządzić plebiscyt śledzi, aby się oświadczyły do kogo chcą należeć. Na razie zatem i kąpanie się w morzu połączone jest z trudnościami, pomijając już okoliczność, że sama jazda tam kosztuje tysiące. Kogo jednak stać na morze, ten może sobie pozwolić i na kosztowną jazdę.

W każdym razie wiele osób bodaj na te dwa miesiące opuści Kraków, powietrze rozrzedzi się też i u nas. Dla zwykłego śmiertelnika, który chciałby używać i kąpieli i świeżego powietrza, oraz stykać się bezpośrednio z ludem, wskazanym byłby następujący porządek dzienny: Rano wycieczka na Rynek krakowski, między ludek, sprzedający na wagę złota produkty swego gospodarstwa. Popołudniu kąpiel we Wiśle lub Rudawie, następnie zaś, o ile się kto nie utopił (bo i to się zdarza...), wyjście na Sikornik i wdychanie świeżego powietrza. Tego rodzaju podział dnia wakacyjnego ma to jeszcze do siebie, że nic nie kosztuje, a to kwestya dla wielu bardzo ważna. Zresztą, jeśli mamy prawdę powiedzieć, to powietrze na wsi nie tak znów bardzo różni się od krakowskiego, a ma się tam żyć w ciągłej irytacyi i niepewności, co nikomu nie może wyjść na zdrowie, to nawet lepiej, jeśli się zostanie w Krakowie, ktory i w letniej porze ma swe przyjemności, jak to może stwierdzić pierwszy lepszy z byłych słomianych wdowców.

Kronikarz, dla którego nie wystarcza szarzyzna codziennego życia, wybrałby się bardzo chętnie na przykład na wycieczkę na księżyc lub Marsa, jak to było w projekcie. Niestety, skończyło się na projekcie, gdyż kwestya powrotu przedstawiała pewne trudności.

Później zrodził się nowy projekt, również *Kuryer* doniósł nam o nim. Angielski uczony, chcąc uwolnić świat od mizeryi węglowej i uczynić zbędnymi wszelkie Centrale i Inspektoraty węglowe, zaproponował pobieranie ciepła z ziemi, do czego wystarczy zupełnie dziura, głębokości piętnastu kilometrów.

Taką dziurę warto zwiedzić, trzeba to jednak odłożyć na później, gdyż dotąd nie zaczęto jeszcze kopać. Przy tej sposobności warto byłoby się nad tem zastanowić, czy nie opłaciłoby się przewiercić ją na wylot, co ułatwiłoby nam komunikacyę z drugą półkulą (a jeżeli się z tamtej strony trafi na morze?... *przyp. zecera*). Przez tę dziurę możnaby przeciągnąć sznur, a potem uwiesić ziemię u jakiegoś stałego punktu, dajmy na to, u rogu księżyca... W ten sposób uchroniłoby się ziemię od trzęsień, zderzeń niepotrzebnych z innemi niebieskiemi ciałami i t. d.

Za podobny projekt powinno Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznać kronikarzowi jakąś większą nagrodę, aby go w ten sposób zachęcić do obmyślenia dalszej seryi podobnych problemów, mogących mieć dla świata wprost nieobliczalne następstwa.

Skoro się więc nie można z powodu utrudnień komunikacyjnych wybrać ani na księżyc, ani w kierunku wprost przeciwnym, to jest do głębin ziemskich, zostaniemy zatem tam, gdzie nas Opatrzność rzuciła, zwłaszcza, że trzeba pomyśleć o uregulowaniu swych stosunków domowych, gdyż nie jest wykluczone, że koniec świata już w zanadrzu! Wskazywałyby na to narodziny dyabła w krakowskiej klinice. Urodzić się miał z żydówki, zatem ściśle według oświadczeń dawnych uczonych, potwierdzonych z urzędu przez magistrackiego proroka.

Jeśli ma to być w samej rzeczy ów dyabeł, który z ognistym wozem będzie objeżdżał świat, to wyobrażam sobie jego minę gdy się zgłosi w Inspektoracie węglowym z prośbą o przydział opału, a tam mu powiedzą, że podanie trzeba wnieść kilka miesięcy naprzód, a na załatwienie czekać znów kilka miesięcy. A gdy mu już przydzielą, to mu magistrat zarekwiruje przydział, jako że od rekwizycyi wolne są tylko przydziały protegowanych. Gdy się nadto dyabeł dowie, ile mu za węgle przyjdzie zapłacić, czmychnie, niczem jego kolega od pani Twardowskiej... Że zaś koniec świata bez dyabła z ognistym wozem obejść się nie może, skorzystamy z tego tyle, iż koniec świata, z powodu nieprzewidzianych przeszkód, odłożony zostaje aż do czasu poprawienia się stosunków opałowych.

Z tego znów dowód, że tak Inspektorat węglowy, jak magistrat, mogą się też i na coś przydać.

Jak tu zresztą wierzyć w koniec świata, choćby się nawet dyabeł narodził, otrzymał przydział węgli, a magistrat mu ich nie zarekwirował, skoro przedtem miały być uregulowane stosunki na świecie, a na to się bynajmniej nie zanosi. Obradowano w ostatnich czasach w San Remo, Boulogne, Londynie i Paryżu, teraz przyszła kolej na Brukselę i Spaa, a o porządku światowym ani słychać!... Główny kucharz, który nawarzył nam tego politycznego bigosu, zaledwie wrócił do zdrowia, ma głowę czem innem zajętą, to jest smażeniem kiełbasy wyborczej, jako że wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych przypadają na jesień, a liczba wyborców jest bardzo znaczna i ladaczem zadowolić ich nie można!

Co tam uradzono w Spaa, o tem kronikarz dowiedział się z gazet. Sam nie był na miejscu, gdyż zapomniano go zaprosić. Niewiele brakowało, a byłoby to samo spotkało i Polskę, choć tam miano radzić o niej. Na czas przecież błąd naprawiono i zaproszono do układu oficyalnego polską delegacyę. Pojechał pan Patek, zatem bez konkursu już się obejdzie.

Czy zresztą warto byłoby narażać się na trudy podróży, aby nad wielu różnemi sprawami radzić zaledwie przez jeden dzień i aby w rezultacie nikt sobie nic z ich uchwał nie robił. Niemcy pokazali już jak się zapatrują na kwestyę rozbrojenia, teraz powtórzą to samo z okazyi odszkodowania wojennego. Lloyd George ma głowę zabitą handlem i zbliżaniem się bolszewików do Indyi, nie myśli zatem zbyt Niemcom następować na pięty; zwłaszcza, że doszedł już do przekonania, że nie zagrażają interesom handlowym angielskim, jak to przed wojną sądzono.

Zresztą w Europie się tylko zaczęło, dalszy ciąg może być w Azyi lub gdzieindziej, a na to się zanosi. Turcy traktatu pokojowego podpisać nie chcą, i chwycili obecnie za broń, a to ich wystąpienie może być bardzo łatwo powodem wybuchu w Azyi, co bynajmniej nie leży w interesie Anglii. Lloyd George nie może też spać spokojnie (choć w łóżku pluskiew nie ma...) i wie co robi kokietując stale Krasina.

Ogólny chaos i zamieszanie, oraz narodziny dyabła, to zupełnie pewne znaki zbliżającego się końca świata, o czem zresztą pomówię później.

M. STAWISZ

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

I.

Gawlikowa już kilkakrotnie zła i namarszczona podchodziła do drzwi sklepiku, wyglądając niecierpliwie na ulicę.

Jesienny zmierzch wkradał się już powoli przez pożółkłe szyby okien otulające jednolitym, szarym cieniem wnętrze sklepiku, brudną, wązką ladę i półki dźwigające skąpe pudełka i puszki, zawierające różne wiktuały. Na półce najniższej, obok napoczętego wianka cebuli stały wyszczerbione dwa talerze; jeden z powidłami bardzo podejrzanego koloru, na drugim zaś leżał kawałek omszonego sera obok kilku niepokaźnych, czerstwych bułek. Dalej, parę funtów zeschłej, czarnej kiełbasy, parę paczek cykoryi, szklanny słój z cukierkami różnorodnej barwy. Na ladzie, walały się ćwiartki bruuatnego papieru, nóż, waga, garnek z ogórkami kiszonemi i duży koszyk z pomarszczonemi jabłkami.

Coraz większe zniecierpliwienie malowało się na ostrej, wyrazistej twarzy Gawlikowej, stojącej nieruchomo przy szklannych drzwiach sklepiku. Czarne jej, jeszcze piękne oczy z uwagą śledziły nielicznych przechodniów, spieszących po wązkiej, źle wybrukowanej uliczce.

— Dam ja jej jak wróci! — syknęła w końcu, odchodząc od drzwi.

Podeszła do dużej, kuchennej lampy, zawieszonej na gwoździu przy półkach i ze złością zapalać ją zaczęła.

Rozklekotany dzwonek głucho zajęczał przy drzwiach.

Ktoś wszedł do sklepiku.

Gawlikowa odwróciła się szybko z groźną błyskawicą w oczach, ale na widok wchodzącej osoby twarz jej rozjaśniła się uprzejmym uśmiechem.

— Ah! pani Olearczykowa! Co za gość niespodziany! Witam! witam!

Gruba jejmość we wełnianej chustce na głowie wtłoczyła się ciężko do sklepiku, sapiąc i dysząc zawzięcie.

— Co tam nowego pani Olearczykowa? Co tam nowego? — pytała ciekawie Gawlikowa, podając jej rękę.

Olearczykowa westchnęła głęboko.

— Ano, paniuńciu kochana, stara bieda i już. Cały dzień wymarzłam na tej tandecie i ledwie dwie bluzki sprzedać mi się udało. Odniosłam graty do domu i wstąpiłam pogawędzić trochę z kochaną paniuńcią.

— Proszę, proszę — zapraszała uprzejmie Gawlikowa, podając jej krzesło.

Sama zaś, poszła usiąść za ladę, wsunęła zsiniałe ręce pod fartuch i pochylając się naprzód, zapytała z zaciekawieniem:

— Nie wie też pani co słychać u Szulców?

Olearczykowa skrzyżowała tłuste ręce na brzuchu i kilkakrotnie pokiwała głową.

— Co słychać? Państwo całą gębą! Zaszłam dziś do nich, idąc na tandetę, bo to ona przecież i koleżanka z dawnych czasów i kumoszka...

— Wstąpiła pani — podchwyciła Gawlikowa, silnie zainteresowana.

— A jakże, chciałam coś dowiedzieć się właśnie, przepatrzeć, a tu wychodzi do mnie ta wyfryzowana marmuzela Wikta i cedzi przez zęby: „mama o tej godzinie śpi jeszcze i nie przyjmuje nikogo". Wiedział to kto paniuńciu moja!

— Poszalały baby — syknęła Gawlikowa z oburzeniem.

— A dawne to czasy kiedy musiała wstawać o piątej godzinie, przyprawiać sama kaszę do kiszek i siekać mięso do kiełbasy!?

— A w jednej kiecce to cztery lata chodziła, aż w strzępy już z niej leciała — dorzuciła zgryźliwie Gawlikowa, której twarz nagle ze złości pożółkła i postarzała, a wąskie, bezkrwiste usta, przybrały wyraz nieubłaganej nienawiści. Oh! losie, losie! A wie pani Olearczykowa co? Ja znowu słyszałam, że pokojową przyjęli, a od pierwszego przenieść się mają do tego dużego mieszkania na froncie. W głowie się chamom przewróciło, odkąd majątek robić zaczęli. I że też porządny człowiek na takie rzeczy patrzyć musi! A o tym majątku ich dużo jeszcze dałoby się powiedzieć, prawda pani Olearczykowa? — szepnęła tryumfująco, pochylając się jeszcze bardziej nad ladę.

— A pewnie, paniuńciu moja! a pewnie! Bo to ani na loteryi nie wygrali, ani żaden spadek na nich nie przyszedł. Wiedzieliby sąsiady! Et! co tu dużo gadać, świństwo jest i już! Szachrowali zawsze biednych ludzi, truli Bóg wie jakiem ścierwem, a jak wojna nastała Szulc do kabzy sięgnął, bo że tam mieli coś uciułane na krzywdzie ludzkiej to pewne i do jakichś tam interesów się wziął. A wiadomo przecież jakie to interesa podczas wojny robić można!

— Powiadają, że wykupował po prowincyi słoninę za byle co, pozwolenie na przewóz skądś tam dostał i towar w dobry czas na targ rzucił.

— A coby nie! Teraz majątek gotowy!

— A człowiek ledwie te gęby w domu obżywić potrafi! — jęknęła Gawlikowa, załamując ręce rozpaczliwym ruchem, a przecież od rana do nocy jak ten wół w jarzmie chodzi!

— To targ źle idzie paniuńciu moja! — zaciekawiła się Olearczykowa.

— Co ma iść! Sklep przyjdzie chyba zamknąć! Na większy zakup, pieniędzy zawsze brak! Oj! skaranie boże z takiem życiem.

Zaległo chwilowe milczenie, przerywane ciężkiem sapaniem Olearczykowej i głębokiem westchnieniem sklepiczarki.

— A czemu to pan Gawlik do interesów się nie weźmie — odezwała się w końcu Olearczykowa z chytrem spojrzeniem w stronę przyjaciółki. Zarobić uczciwie każdemu wolno.

— A gadajże pani z takim niedołęgą! — zaperzyła się Gawlikowa, aż dwie ciemne plamy na bladą jej twarz wystąpiły. „Ja tam nie do interesów — mówi — swoje robię i już. Juści! Brzytewką i grzebieniem cały dzień się pieści i myśli, że z tego córkom posagi złoży! Idyota!

Dalsze zwierzenia przerwał nagle dzwięk dzwonka.

Do sklepiku weszła młoda, anemiczna dziewczyna. Z całej jej postaci wątłej i wysmukłej, wiał chorobliwy wdzięk rośliny zamierającej powoli z braku słońca. Duże jej niebieskie oczy patrzały jakgdyby ze zdziwieniem na świat, w którym jej bez jej woli żyć kazano.

— Dobry wieczór — wymówiła cicho kierując trwożliwe spojrzenie w stronę Gawlikowej.

Sklepiczarka porwała się szybko z miejsca i nie zważając na gościa przyskoczyła do dziewczyny szarpiąc ją brutalnie za ramię.

— Gdzie byłaś, co? Gdzie byłaś, wrzasnęła z pasyą. Całe popołudniu latasz gdzieś po mieście! Może znowu powiesz że u koleżanki byłaś co? U koleżanki?

— Tak, mamo — odpowiedziała dziewczyna, patrząc matce prosto w oczy. Mówiłam przecież, wychodząc. Poszłam do Felki Kuźmianki przerobić lekcye na jutro.

— Ah! właśnie! do Kuźmianki — bo tam ta gołopięta do ciebie oczy przewraca — co? Przerabiałaś lekcye, a jakie? Głupi by uwierzył. Staszka! powiadam ci, pilnuj się, bo źle z tobą będzie! A do Kuźmianki raz na zawsze zapowiadam, wara mi chodzić! Słyszysz!

Silny rumieniec wystąpił na bladą twarz dziewczyny. Bez słowa skierowała się do drzwi w głębi, prowadzących do mieszkania, przywitawszy się przedtem serdecznie z Olearczykową.

— Skaranie boskie z tą dziewczyną — jęknęła Grabikowa, załamując ręce. Powiadam pani, uparte to jak kozioł, a na wygląd niewiniątko, trusia!

— Eh! nie gadałaby paniusia — zaprotestowała Olearczykowa. Stasia to takie dobre dziecko. Słyszałam, że uczy się doskonale, że najzdolniejsza z całej klasy.

— Co mi z tego! Mało to ta jej nauka kosztuje. Ale jak napierać się zaczęła, a ten niedołęga obstawać za nią, to co było robić? Oddałam do seminaryum i tylko utrapienie z tego w domu.

A jakież to utrapienie paniuńciu moja! — zdziwiła się Olearczykowa.

— A myślała pani, że co innego? Wyręki z niej żadnej, tylko rękę w kieszeni trzymaj i płać, to za to, to za owo. A jak przyjdzie z tej szkoły to albo do koleżanki poleci, albo do książek się bierze i możesz gadać jak do muru.

— Ale zawsze uczona z niej będzie dziewczyna i chleb w ręce pewny. Jabym tam dumna była z takiej córki.

— Moja pani Olearczykowa, każdy wie swoje. Ja tam choć babka moja szlachcianką była, nigdy bardzo uczona nie byłam, a chłopcy za mną się rozbijali aże miło. Trzeba było nieszczęścia, że się dałam namówić temu mojemu niedołędze, bo to przystojny chłop swojego czasu był i straszył, że sobie co złego zrobi, jak się nie zgodzę — no i stąd taka bieda teraz. Ja tam nie chcę, żeby mi się córki zmarnowały w ten sam sposób.

— A bo co? bo co? paniuńciu moja — zainteresowała się Olearczykowa. Dziewczyna już może ma co na myśli. Gawlikowa westchnęła, aż wyrudziała koronka przy staniku zatrzepotała jak skrzydła motyli poderwane wiatrem i pochylając się jeszcze niżej ku przyjaciółce — szepnęła poufnie.

— Bo to trzeba pani wiedzieć, że od jakiegoś czasu ciągle za nią łazi ten Franek Kuźma, wie pani, syn szewca z ulicy Felicyanek.

— Aha! ten taki chuderlawy, zwolniony z wojska — co?

— Właśnie! No, powiedz pani Olearczykowa, czy ja matka mogę patrzeć na to dobrem okiem? Niby to on ta chodzi do handlówki i na subjekta do sklepu się uczy, ale zawsze z szewskiej rodziny pochodzi! Co tu gadać! Nie na to ją uczyć kazałam i grosz wykładam. Dzisiaj dziewczyna z edukacyą lepszą partyę zrobić może. Moja babka szlachcianka mówiła zawsze:

— Najgorzej kiedy człowiek raz wyjdzie ze swojej sfery! Tak było ze mną, to i dosyć — Staszka! — zwróciła się Gawlikowa ku drzwiom mieszkania — a rozpal tam pod blachą i przystaw kaszę. Ojciec i wujek wnet nadejść mogą. Ja będę sklep zamykać.

— A no, to chyba ja już pójdę — dźwignęła się ciężko Olearczykowa. Kościska mnie bolą, aże strach, trzaby pod pierzynę wleść i rozgrzać się.

— A pewnie, pewnie — przyświadczyła Gawlikowa porządkując coś niecoś na ladzie. Na ciągnięcie w kościach niema jak pierzyna. A zajrzyj że też pani Olearczykowa jutro. Mąż przy niedzieli wyjdzie gdzie pewnie z dziewczynami a my się do woli nagadamy przy kawusi ze śmietanką, Przyniosła mi właśnie kobieta z Nowej Wsi powiadam pani Olearczykowej palce lizać! samo masło!

— Przyjdę paniuńciu moja, przyjdę, dziękuję za zaproszenie. Niema to jak stara znajomość — uśmiechnęła się z zadowoleniem Olearczykowa owijając się grubą wełnianą chustką.

— A dowiedz się też pani — przypomniała Gawlikowa. Czy to prawda, że Szulcowie tę swoją rudą Wiktę wydają za hrabiego! Wierzyć się porządnemu człowiekowi nie chce! Takie coś, co niedawno boso po podwórku latało! Aż serce się w człowieku ściska na tę niesprawiedliwość losu.

— Dowiem się paniuńciu moja, dowiem. Załgam się zaraz z rana, niby po kupno jakiej starzyzny, bo tego tam jak lodu u nich być musi i przewąchają wszystko!

— No, patrzcie państwo, Wikta za hrabiego! Tego jeszcze nie bywało za mojej pamięci! Ale cóż, paniuńciu moja, takie teraz dziwne czasy przez tę wojnę nastały! Wszystko na opak! Ten co na dole był, to teraz w górę idzie! A wszystko przez te pieniądze! Ludziska ino o tem myślą. No, dobranoc paniuńciu moja. Przyjdę jutro pewnikiem.

— Dobranoc, pani Olearczykowa, dobranoc.

Gawlikowa po wyjściu handlarki zamknęła drzwi sklepiku, założyła sztabę i zgasiła lampę, poczem powłócząc rozklapanymi pantoflami, powoli pociągnęła do pokoju, znajdującego się za sklepem.

Łączył się on z kuchnią i stanowił całe mieszkanie Gawlików. Pokój ten ciemny był i wilgotny.

Jedyne okno wychodziło na podwórko brudne i wąskie. Umeblowanie składało się z dwóch łóżek blaszanych, wygniecionej kanapy, obitej wypłowiałym, zielonym pluszem, szafy orzechowej i stołu.

Była to sypialnia całej rodziny Gawlików. W kuchni, na żelaznem łóżku za parawanem, sypiał kuzyn Gawlikowej, sublokator, stary kawaler, pracujący jako monter w fabryce żelaza na Grzegórzkach.

Gawlikowa, leniwymi, ociężałymi ruchami zapaliła wiszącą lampę nad stołem, jedyny, zbyt kosztowniejszy sprzęt w pokoju i zajrzała do kuchni, gdzie Staszka męczyła się nad rozpaleniem ognia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zjazd cyklistów polskich w Warszawie.

W miarę, jak jednoczy się Polska, rozerwana dotąd na trzy odrębne części, starają się też i nasze instytucye wszelkiego rodzaju o jednolitą organizacyę, wiedząc o tem, że „w jedności siła".

Taki cel miał ogólny zjazd polskich cyklistów, który się odbył w Warszawie w dniach 27—29 czerwca przy udziale delegatów towarzystw kolarskich całej Polski. — Głównym przedmiotem zjazdu było ustalenie statutu dla zakładającego się Związku polskich cyklistów i wybory pierwszego wydziału. Pozatem wchodziły w program: zwiedzanie miasta i okolicy oraz wyścigi kolarskie na Dynasach.

Krakowski klub cyklistów i motorzystów wziął też czynny udział w zjeździe. Część uczestników wyjechała z Krakowa na rowerach już w piątek 25 czerwca wczesnym rankiem, kierując się przez Miechów, Kielce, Radom, Grojec do Warszawy, reszta podążyła za nimi koleją. Wogóle był Kraków na zjeździe licznie reprezentowany. Naogół zebrało się około czterystu delegatów ze wszystkich stron kraju.

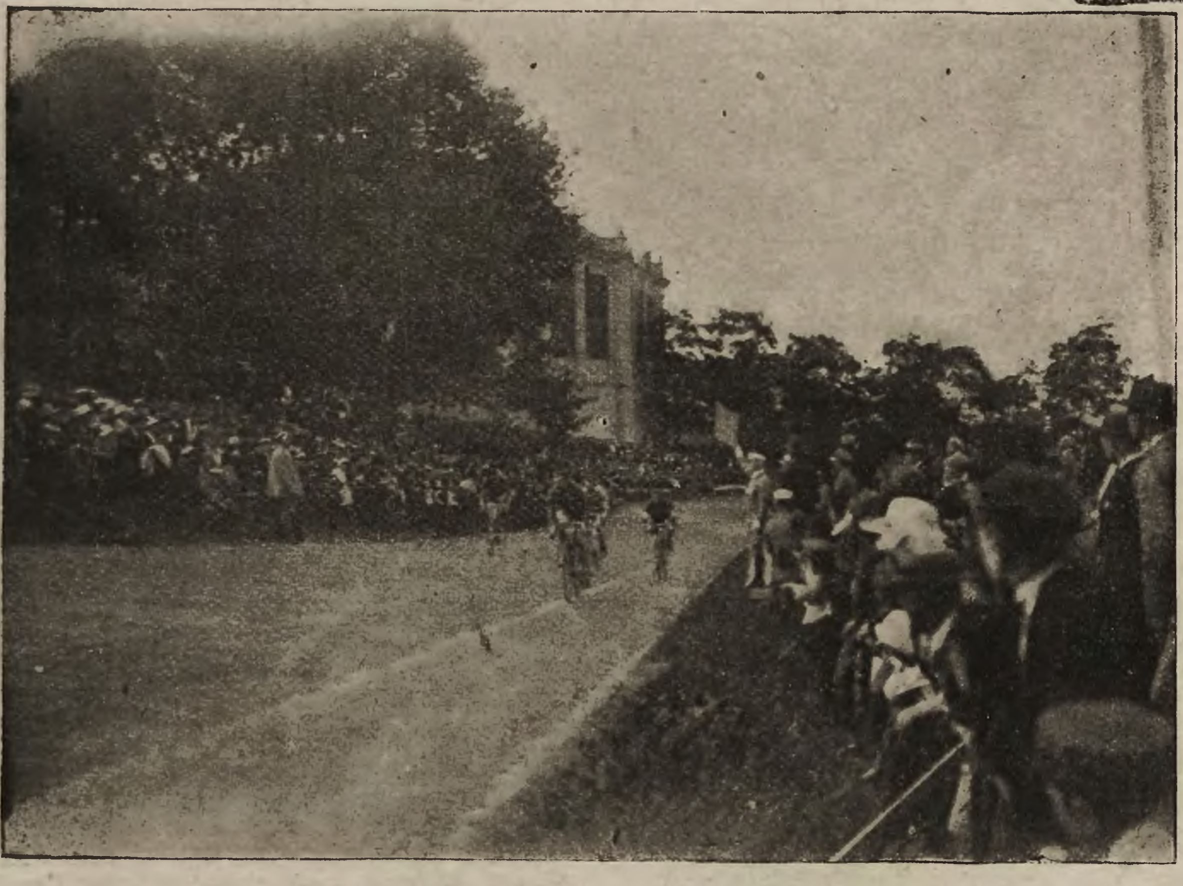
Punktem kulminacyjnym zjazdu były naturalnie wyścigi, z których dochód przeznaczono na pokrycie kosztów wycieczki polskiej na igrzyska Olimpijskie w Antwerpii. Tor wyścigowy na Dynasach zaroił się od tysięcy publiczności, żądnych tego rodzaju sportowego widowiska.

Kraków dzielnie się spisał. Zaraz w pierwszym biegu zdobył pierwszą nagrodę Krakowianin p. Aksman, ponadto zwycięzca w jednym z biegów następnych. W wyścigu motorów przebył zwycięzca 750 m. w 19 sekundach.

Przy wyborach do zarządu Związku weszli z Małopolski: pp. Rudnicki i Regliński z Krakowa i Weismüller ze Lwowa.



Zjazd cyklistów polskich w Warszawie: Krakowianie biorący udział w Zjeździe (oznaczeni cyframi odbyli drogę Kraków-Warszawa na rowerach.



Zjazd cyklistów polskich w Warszawie: Wyścigi kolarzy na Dynasach.

Dla wrogów mamy miecz, a dla przyjaciół kulturę.

W czasie swego ostatniego pobytu w Krakowie, w końcu czerwca b. r., podnosił czcigodny biskup Bandurski w gronie swych znajomych kulturalną działalność żołnierza polskiego na kresach wschodnich. Potwierdzeniem jego słów jest korespondencya, jaką otrzymaliśmy z naszego wschodniego frontu.

Przytaczamy ją poniżej w dosłownem brzmieniu:

„Nie przystojnie jest o sobie samym pisać, ale w tym wypadku kto o nas napisze? — jeśli nie my sami.

Jest jednak droga pośrednia — stąpajmy więc po niej.

W jednem ze swoich przemówień powiedział dr. Moorde, że Polacy są jedynym narodem, powołanym do niebywale wielkiej roli w nowem kształtowaniu się Europy, że tylko my możemy tworzyć owe przedmurze cywilizacyi przed dzikim jeszcze wschodem. Powiedział to człowiek, który zjeździe niemal cały świat, poznał trzydzieści kilka narodów, a w Polsce jest dziś po raz pierwszy, zaś





Dla wrogów mamy miecz, a dla przyjaciół kulturę:

Szkoła polska na kresach wschodnich, zał. przez dow. 2 Dyw. Leg. generała Minkiewicza w miejscu postoju sztabu 2-ej Dyw. Leg.

Generał Minkiewicz w otoczeniu oficerów przy obiedzie polowym.

na nas patrzył zawsze z oddalenia, poznając polski naród tylko z owych trzech milionów robotników-emigrantów, pracujących w jego ojczyźnie, co jednak nie może dać ogólnego nawet poglądu na naród. Jeżeli zaś tak się wyraził, niewątpliwie opiera



Protest Krakowa w sprawie terminu plebiscytu na Mazurach: Uczestnicy wiecu podczas przemówienia prof. Weinera

się na świeżo dokonanem rozpoznaniu nas przy bezpośredniem z nami zetknięciu, a nie dla czczego komplementu, do którego nic go nie zmusza.

Jest to więc wyraz prawdy.

Jest to podkreślenie tego poczucia ważności naszego zadania, które mamy w sobie, jest to odczytanie z naszych czynów tego naszego powołania, z którego w całej pełni zdajemy sobie sprawę.

Przeszliśmy przez Litwę i Białoruś wśród huku dział, skrapiając te ziemie własną i nieprzyjacielską krwią, ale działo się to z musu dziejowego, który nie zna oswabadzania ludów uciemiężonych bez użycia oręża.

Kiedy jednak — jak wichrem spędzona gradowa chmura — zepchnęliśmy wandaliczny bolszewizm poza granice tych krajów, jest faktem niezaprzeczonym, że ludność z ulgą odetchnęła naszem cywilizacyjnem życiem, odetchnęła ożywczym, szerokim, bo już wolnym duchem Polski, który sam szczęśliwy, dzieli się tem szczęściem z bratniemi narodami słowiańskimi, niosąc im obok wolności kaganiec oświaty, cywilizacyę, która jest pierwszym warunkiem niepodległości.

Żywym pomnikiem tego jest założona w połowie lutego b. r. przez generała Minkiewicza polska szkoła tego imienia, powstała w miejscu postoju sztabu 2-ej Dyw. Leg., a podtrzymywana, względnie w całości utrzymywana przez całe grono oficerów sztabu, którzy na rzecz tej szkoły dobrowolnie się opodatkowali.

Jak ludność tutejsza łaknie nauki, niech świadczy fakt, że szkoła odrazu zdobyła sobie wzwyż siedmdziesiąt główek łakomych wiedzy. Jedynie troska o ten chleb powszedni, zmuszająca dziś i dziatwę do pracy przy gospodarstwie i wypędzająca ją w pola na rolę, nie pozwoliły wszystkim dokończyć rozpoczętą naukę, tak że do popisu przy zamknięciu roku stanęła tylko ich połowa.

Zamknięcie roku nastąpiło dnia 12-go czerwca w obecności założyciela gen. Minkiewicza i matek i ojców popisującej się dziatwy.

Silne wzruszenie opanowało obecnych, gdy jedna z dziewczynek, występując przed generała z bukietem kwiatów, w swoich dziecięcych, ale i dziecięco szczerych słowach podziękowała generałowi za otwarcie szkoły, za nauczanie ich nietylko pisania i czytania, ale przedewszystkiem za nauczenie ich, jak należy kochać Polskę. Po podziękowaniu tem nastąpił popis.

Doprawdy łza wzruszenia i pełnego zadowolenia stawała w oku, gdy się słyszało te dzieci rezolutnie odpowiadające, mówiące czysto po polsku, cytujące bajeczki i wiersze, z przejęciem śpiewające polskie patryotyczne pieśni, z pewną dumą wypowiadające swe wiadomości z historyi Polski, począwszy od samego jej zarania, t. j. ery Lecha, Czecha i Rusa, a dochodząc do czasów Grunwaldu, mówiące o pierwszych polskich królach, o powstaniu i o Kościuszce, o Konstytucyi 3-go Maja. Plon opłacił się za trudy i starania, za opiekę i za siew tej nauki.

Ale bo też dzieci te w dobre dostały się ręce, które je bardzo umiejętnie, energicznie i z wielką dozą cierpliwości, wymaganej w tym zawodzie, prowadziły. To też generał Minkiewicz po skończonym



Nad polskiem morzem: Dom kąpielowy i plaża na półwyspie Hela.

popisie serdecznie podziękował niezmordowanej nauczycielce p. Dziedzicównie i nauczycielowi p. Jerzemu Rutkowskiemu za ich rzetelną pracę i X. proboszcz. Łuszczce, kapelanowi 2-ej Dyw. Leg. dziełu organizatorowi tej szkoły.

Tadeusz Ordża".



Nad polskiem morzem: Chata rybacka z kominem do wędzenia ryb na półwyspie Hela.

Protest Krakowian w sprawie terminu plebiscytu na Mazurach.

Koalicya jak gdyby chcąc dać do zrozumienia, że jej na tem zależy, aby Mazury i Warmia pozostały przy Niemcach, naznaczyła termin plebiscytu w tych okolicach na dzień 11 lipca b. r.

Jeśli do tego dojdzie, to sprawę naszą możemy uważać za przegraną pomijając bowiem cały szereg oszczerstw i fałszerstw, jakich się Niemcy dopuścili przy układaniu list plebiscytowych, nie trzeba zapominać, że ludność tych terenów do ostatniej chwili jęczy pod terrorem niemieckich bojówek, a międzynarodowa Komisya patrzy na to z założonemi rękami, paraliżując natomiast wszelkie uświadamiające usiłowania ze strony polskiej.

Termin plebiscytu nie został postanowiony przez wszystkie interesowane państwa Koalicyi, jak tego traktat pokojowy wymaga, tylko przez ich część. Rząd polski poczynił też w tym kierunku odpowiednie kroki, zabrał głos Sejm warszawski, oświadczyło się całe społeczeństwo, urządzając szereg wieców na całym obszarze naszego kraju.

I w Krakowie odbył się tego rodzaju wiec u stóp pomnika Grunwaldzkiego w dniu 4 b. m.

Czy to jednak trochę nie zapóźno?

Wiec zagaił dr Lubecki. Stwierdzając, że plebiscyt zawczesny byłby niebezpieczny bo bez przygotowania, żądając, żeby termin z 11 lipca znacznie odłożono.

Po przemówieniach dalszych dra Weinera i p. Sarówki, uchwalono następującą rezolucyę:

Zważywszy:

1) że na terenie plebiscytowym Kwidzyńskim do maja b. r., a na Warmii i Mazowszu pruskiem do chwili obecnej ludność polska jest terroryzowana przez zamaskowane pod nazwą policyi żołdactwo pruskie.

2) że mimo pozoru zwierzchnej władzy komisyi koalicyjnej cała administracya kraju, Zarząd poczt, telegrafu, kolei, leśnictwa, szkolnictwa i sądownictwa istotnie spoczywa we wrogich nam rękach niemieckich.

3) że sfałszowano listy plebiscytowe, na których widnieją nieboszczyki i nieletni.

4) że w tych warunkach akcya plebiscytowa wśród ludności polskiej, która nie mogła dotychczas uchronić się od wpływów stokilkudziesięcioletniego prześladowania pruskiego, jest na każdym kroku utrudnianą i paraliżowaną przez czynniki, które powinnyby się zachować bezstronnie.

Wiec uznaje, że wyznaczenie terminu głosowania plebiscytowego na tych terenach na dzień 11 lipca b. r. jest pogwałceniem elementarnych zasad sprawiedliwości i rzeczywistego równouprawnienia obydwu narodowości głosujących, oraz sprzeciwia się duchowi traktatu wersalskiego.

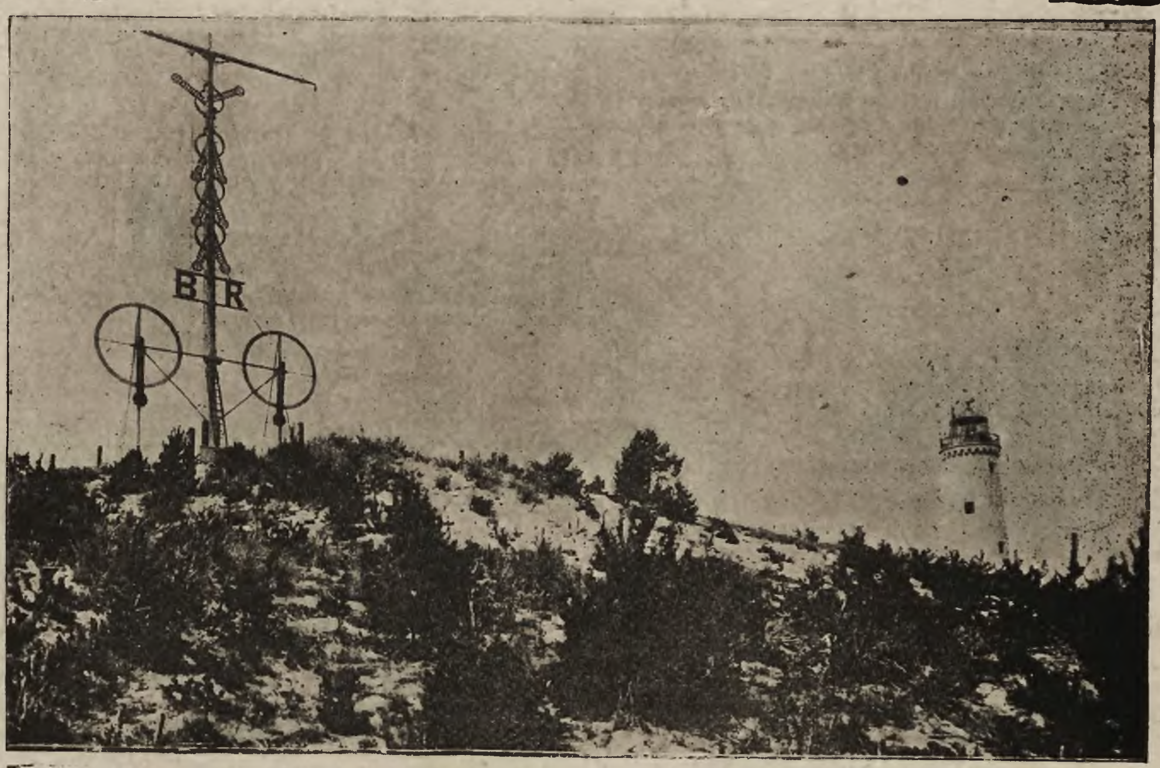
Wiec uroczyście protestuje przeciw temu terminowi i wzywa rząd, by domagał się bezwarunkowo odroczenia terminu plebiscytu do roku przyszłego i bezzwłocznego wytworzenia na terenach plebiscytowych warunków, zapewniających rzeczywiste równouprawnienie i swobodę akcyi plebiscytowej dla ludności polskiej.

Wreszcie wiec zaznacza, że wyniku plebiscytu, przeprowadzonego wśród obecnych warunków, naród polski nie uzna.

Zakończyło odśpiewanie „Roty“.

W wiecu wzięli udział także uczestnicy uroczystego zebrania w sali Rady miasta z okazyi amerykańskiego święta narodowego, zaproszeni przez prezydenta Federowicza imieniem Marszałka Sejmu.

Należy zaznaczyć, że nie powinno się urządzać uroczystych obchodów, wieców i t. p. równocześnie tego samego dnia i o tej samej przeważnie godzinie. Wpływa to ujemnie na ludzi, biorących udział. Ten i ów, zastanawiając się nad tem, dokąd się udać, a nie mogąc się zdecydować na wybór, w rezultacie zostaje w domu.



Nad polskiem morzem: Stacya sygnałowa dla okrętów przybywających z pełnego morza na półwyspie Hela.



Nad p[illegible]: [illegible] półwyspie Hela.

Nad polskiem morzem.

Uczono nas zawsze, że Polska ma sięgać od morza do morza, to jest od Bałtyku po Czarne, dziś zgodzilibyśmy się bodaj na jedno, byle tylko mieć doń porządny dostęp. Koalicya uznała wprawdzie, że Polska bez dostępu do morza nie może się należycie rozwinąć, przyznała nam też skrawek wybrzeża bałtyckiego lecz bez Gdańska, z którego utworzono wolne, niezawisłe miasto Gdańsk z okręgiem.

I z takiem to „państwem“, które możnaby nakryć kapeluszem, musi się liczyć wielomilionowa Polska i zdarą jest na jego łaskę i niełaskę, bo Gdańsk zamyka jej ujście Wisły.

Sfery rządzące w Gdańsku, to Niemcy, popierani przez Anglików, nic też dziwnego, że zamiast ułatwiać, przysparzają Polsce trudności, bo to leży w ich interesie.

Część wybrzeża Bałtyku, przyznana Polsce, jest przeważnie płaska i piaszczysta tu i ówdzie zalesiona. Uboga ludność nadbrzeżna, nie wynarodowiona dotąd pomimo germanizacyjnych zakusów hakaty trudni się przeważnie rybactwem.

Nadzwyczaj malowniczo przedstawia się najdalej na północ wysunięty półwysep Hela, zamykający częściowo zatokę Gdańską. Jest to długi a wąski cypel lądu stałego, wrzynający się głęboko w morze. Patrząc na mapę, ma się wrażenie, że to sztucznie wybudowana tama, mająca za zadanie odciąć od pełnego morza zatokę. Ludność tu bez wyjątku rybacka, płaskie i piaszczyste wybrzeże nadaje się do używania morskich kąpieli, nic też dziwnego, że rokrocznie zjeżdżają tam tłumy kuracyuszy i wycieczkowców.

I w bieżącym roku nie brak ich. Zjechali z całej Polski, pędzeni szlachetną ciekawością poznania tego oddalonego zakątka. Jest wiele osób, które zjechały na stały pobyt, różnego rodzaju wycieczki zmieniają się, jak w klejdoskopie.

Na wybrzeżu morskiem rojno też i gwarno w tym roku, wokół słychać mowę polską, ale niestety, same narzekania na drogą i niewygodną komunikacyę od Warszawy na Pomorze (brak miejsca w wagonach, bilety w pasku itd.), po przyjeździe zaś na miejsce rozczarowanie nie mogąc znaleść dachu nad głową, gdyż mieszkania zajęte przez stałych letników. Ptakom przelotnym zostaje więc nocleg pod gołym niebem. Aprowizacya także niezbyt obfita, ta część kraju jest bowiem biedna i skazana na dowóz żywności z innych stron w zamian za ryby i sieci rybackie, z których wyrobów słyną zwłaszcza mieszkańcy Heli.

Niechaj to przecież nikogo nie zraża. Kogo tylko stać na to, niech jedzie na północ, nad nasze polskie morze, którego mu chyba nikt już odebrać nie zdoła! W innych, po europejsku urządzonych zdrojowiskach lub uzdrojowiskach (Zakopane, Krynica itd.) na każdym kroku walczy się z różnymi brakami, a jakoś się na nie godzi, tembardziej, zrozumieć się je musi i uwzględnić w kraju, który świeżo uwolniony z pod tyrańskiego jarzma, zaczyna dopiero nowe życie.



Narady Jugosłowian z Włochami w sprawie Adryatyku: Przedstawiciele połud. Słowiańszczyzny Pasicz (1) i Trumbic 2) uczestnicy konferencyi z Włochami w Pallanza.

Narady Jugosłowian z Włochami w sprawie Adryatyku.

Sprawa władania na morzu Adryatyckiem stanowiła zawsze kość niezgody pomiędzy państwami, które rozsiadły się na jego brzegach. Bezpośrednio przed wybuchem wojny światowej ścierały się tu wpływy Austryi i Włoch. Austrya uważała Adryatyk za c. k. morze, Włosi twierdzili natomiast, że to *mare italiano*, do czego z resztą jako spadkobiercy Wenecyi, mieli zupełne prawo. Za się na tem nieraz za łby nie pobrali, to tylko z powodu, że byli sojusznikami i że jeden bał się drugiego... Innych sąsiadów stale odsuwano, nie licząc się z ich potrzebami. Serbii odmawiano dostępu, Czarnogórze pozwolono łaskawie spoglądać z góry Łowczen na fale modrej Adryi.

Po ostatecznym upadku Austryi Włochy znalazły się nareszcie u celu swych marzeń. Odtąd Adryatyk musi należeć do nich niepodzielnie.

Ale na gruzach dawnej monarchii Habsburgów powstało nowe państwo Jugosławia, mające być zrealizowaniem dawnego problemu Wielkiej Serbii. I to państwo, mające z Włochami dawne porachunki, zajmuje teraz rolę Austryi i upomina się o swe prawa, które mu się zupełnie słusznie należą. Włochy przecież ani myślą ustąpić, czego daty dowód, rozsiadując się na dobre w Rjece. Godzą się co najwyżej na „korytarz“, wiodący do morza, ale bez wygodnego portu. Co zaś warte jest takie rozwiązanie sprawy, wiemy najlepiej my, Polacy, będący w takiem samem, jak Jugosłowianie, położeniu. I nam przyznano część wybrzeża Bałtyku, ale bez Gdańska.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. Balicki, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę miasta na Górnym Śląsku:

■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— ■ —
— ■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Okres czasu, 3. Rzeka w Rosyi południowej, 4. Przezwisko Moskala, 5. Obrona zwierząt drapieżnych, 6. Herb polski, 7. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył W. W., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwę miejscowości we Francyi:

— ór
— da
— ri
— in
— do
— il
— oe
— ms
— as
— an
— ej
— ól
— wa
— óg

Zgłoskówka.

Ułożył W. Grabski, Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwę nowo powołanej do życia instytucyi:

Porada, wydanie, Opole, brona, tomy, Koran, litera.

Trójkąt magiczny.

Ułożył M. Żak, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwisko bolszewickiego agitatora, podróżującego obecnie po Europie:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Herb polski, 3. Imię męskie, 4 Dopływ Wisły, 5. Postać biblijna, 6. Miejscowość, znana z powieści Dumasa „Hrabia Monte Christo“, 7. Spółgłoska.

Łamigłówka literacka.

Ułożył S. S., Kraków.

Do podanych wierszy dodać dwa następne i odgadnąć, z którego poematu wyjętą jest zwrotka:

„Jeszcze jeden, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska...“

Grzebieniówka.

Ułożył S. K., Podgórze.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda nazwę ksiąg, wchodzących w skład Pisma świętego:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Ciało lotne, 2. Oddział wojska, 3. Rzeka w Azyi, 4. Miasto nad Bałtykiem, 5. Materya jedwabna, 6. Jeden z królów rzymskich, 7 Miasto w Bułgaryi.

Zagadka kwadratowa.

Ułożył Polityk z Warszawy.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwę miejscowości, o której dziś każdy mówi:

■ — — —
— ■ — —
— — ■ —
— — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły, 2. Swięty byk u Egipcyan, 3. Góry w Europie, 4 Znany wulkan.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 W. Jokaja: „Biała dama“ (powieść), 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 26

Logogryf: M. Ufa, era, sem, Inn, Mekka, glina, Stefa, Malta.

Zgłoskówka: Dziewica Orleańska.

Trójkąt magiczny: Rokitna, Orlean, Karol, Iram, tur, ni, a.

Okienko: Marka, rewia, Agata.

Zadanie do uzupełnienia: Oda, sum, Inn, lin, ona, Ewa, dąb, osa, los, iwa, Nil, ach, Izą.

Kwadrat magiczny: Cela, Ezaw, lawa, Awar.

Grzebieniówka: Woda, i, Ebro, l, Iram, c, Zola, k, Adam.

Zadanie na rozsypane litery: W starym piecu dyabeł pali.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Ciesielski Kraków, M. Sawicka Lwów, . Lipski Wiedeń, L. Wierzbicki Rozwadów, K. Radziszewski Warszawa, S. Grabowski Wadowice, a. Lipski Wiedeń, M. Zak Kraków, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl. M. owalska Kraków, J Nowak Drohobycz, K. Fijałkowski raków, L. Gartner Rozwadow, H. Dąbrowska Warszawa, W. Lange Toruń, H. Gruszczyński Tarnów, J. Zawadzki Kraków, H. Frasiński Bochnia, . Szczudłowski Jarosław, S. Sokołowski Kraków, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, M. Hanasiewicz Stanisławow, K. Koźmiński Warszawa, W. Raczyński Kołomyja, S. Zajączkowski Rzeszów, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, S. Kołomłocki Stryj. K. Łempicki Kraków, S. Samlicki Lwów, H. Weigel Jarosław, L. Bogucka Warszawa, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Krak w, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwów, M, Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T. Nowicki Krakow, T. Ostrowski Kraków, S. Rosenbaum Rzeszów, S. Krzyżanowski Warszawa, H. Maciejowski innica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, J. Sikorski ońskie, M. Kaczorowski Kraków, J. Roland raków, M. Hiller Lwow, R. Korda Lwow, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Waligórska Płock, J. Remer Sambor, B, Wiśniewski Łańcut, K. Borkowski Kraków, J. Gross Bochnia, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski rzemyśl, S. Nowacki Lwów, W. Raczyński Kraków, K. Balicka Tarnopol, Z. Sperling Lwow, M. Kot Przemyśl, M. Radzińska Sanok, M Balicka Krosno, R, Bogucki Rabka, J. Madejski Kraków, T. Nowak Rzeszów, M. Bilińska Rawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Kamiński Zakopane (książka), 2) L. Wierzbicki Rozwadów (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.